

prof. dr hab. Tomasz Szlendak
Instytut Socjologii
Uniwersytet Mikołaja Kopernika
Fosa Staromiejska 1a, 87-100 Toruń
e-mail: szlendak@umk.pl

3 września 2016

**Recenzja rozprawy doktorskiej
pani Zuzanny Brzozowskiej zatytułowanej**

***The Role of Education in Fertility Changes
in (Post-)Socialist Europe***

napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Janiny Józwiak (i dr Krzysztofa Tymickiego jako promotora pomocniczego)

Niestandardowo: konkluzja na początku

Nie ma potrzeby trzymać Autorki (i innych zainteresowanych osób) w niepewności do końca tego tekstu. To interesująca, dobra i wartościowa praca. Autorka w pełni zasługuje na obronę swoich tez i ustaleń przed kompetentnym gremium. Z całą pewnością rozprawa spełnia wymogi ustawowe i wnioskuję o dopuszczenie Pani Zuzanny Brzozowskiej do obrony.

O czym i po co

Rosnące wykształcenie kobiet obwinia się w naukach społecznych o najrozmaitsze społeczne „katastrofy” (będące takimi przynajmniej w umysłach konserwatywnych myślicieli i polityków...), choćby o rosnącą liczbę rozwodów, ale też o coraz niższą dzietność. Autorkę zajmuje ta druga z „katastrof” sprowadzająca się do problemu, czy rosnące wykształcenie kobiet przyczynia się do obniżającej się dzietności. Autorka stawia także powiązane z głównym problemem poboczne pytania badawcze o to, w jaki sposób z rosnącym stopniem wykształcenia wiążą się bezdzietność i dzietność poza formalnym małżeństwem.

Jeszcze inaczej cel główny pracy opisując można rzec tak: Autorkę interesowało, w jaki sposób wykształcenie wpływało na dzietność w warunkach „realnego socjalizmu” i jak wpływają na nie „dzisiejsze czasy”. Interesował ją istotny dla dzietności w tej części świata

próg – odejście od socjalizmu i jego pro-reprodukcyjnych programów w momencie wejścia w gospodarkę o mniej czy bardziej kapitalistycznym charakterze. A czego w tym zakresie doświadczyły państwa postsocjalistyczne? Generalnie, rzecz jasna, doświadczyły obniżenia dzietności i recenzowana tu praca jest bardzo porządnym zbiorem argumentów tę obniżkę potwierdzających i tłumaczących.

Struktura: zaskoczenie

Praca ma z mojej perspektywy oryginalną strukturę. Składa się mianowicie z czterech artykułów opublikowanych w porządnym piśmie akademickim. Dwa pierwsze mają charakter analizy porównawczej. Porównano w nich 13 krajów Europy środkowo-wschodniej, zbadano tu rosnący wpływ wykształcenia na dzietność, zarówno w okresie panowania „realnego socjalizmu” czy „dysfunkcyjnego komunizmu”. Dwa pozostałe artykuły opowiadają o sytuacji w Polsce. I te, przyznam, były dla mnie znacznie bardziej interesujące.

Słowo o metodzie

Metoda: złożone analizy statystyczne na danych zastanych. W dużej mierze mamy tu do czynienia z analizą historyczno-statystyczną i, oczywiście, dla socjologa jest ona najciekawsza w tych miejscach, gdzie mowa o teraźniejszości, gdzie donosi się o sytuacji po 1989 roku.

Drobna uwaga w reakcji na zdanie wpisane na stronę numer 20: nie ma co się biczować, że trudno za sprawą obranej metody udowodnić jakąkolwiek przyczynowość i że w pracy mowa jedynie o korelacjach. To rzecz przecież zwyczajna. Udowodnienie związków przyczynowo-skutkowych to w naukach społecznych rzecz tyleż pożądana, co nieosiągalna.

Trzy zalety

Praca jest elegancką skrzynką (mam nadzieję, że ta stolarska metaforyka zostanie mi wybaczona) wypełnioną interesującymi ustaleniami, a ustalanie tych ustaleń wymagało od Autorki ogromnej dozy czasu i nakładu pracy własnej. Koniecznie trzeba o tym wspomnieć i pracę tę docenić. Teoretyczne „pływanie” niemal zawsze jest mniej żmudne od przygotowywania drobiazgowej argumentacji. To drugie czyni Autorka i chwała Jej za to.

Zaletą pracy jest pokazanie przemian w zakresie reprodukcyjnych wyborów kobiet w perspektywie czasowej oraz pokazanie wpływu systemu społeczno-gospodarczego na dzietność. Rozrodcze chęci i niechęci, decyzje podejmowane w sferze mikro w tym zakresie nie dzieją się w społeczno-kulturowej próżni, a sfera makro ma ogromny na dzietność i wybory reprodukcyjne wpływ.

Wartością pracy jest to, że potwierdza się tu szereg niefachowych czy wręcz potocznych obserwacji. Wszyscy – niby – wiedzą, że tak jest, ale nikt nie powołuje się na odpowiednie ustalenia. Pani Zuzanna Brzozowska takich ustaleń dostarcza. I to od razu hurtowo.

Czarno na białym (na przykład na s. 72), że bezdzietność nie jest domeną czasów dzisiejszych. Irytujące są wyobrażenia, potoczne i polityków, że świat w przeszłości wypełniony był kobietami rodzącymi kilkanaście dzieci. Autorka wyraźnie pokazuje, że w XX wieku przeszliśmy od wysokich poziomów bezdzietności do niskich i z powrotem. Że nie tylko kultura/struktura dzisiejsza decyduje o nieposiadaniu dzieci przez kobiety, ale też inne okoliczności strukturalne i gospodarcze mogą decydować o bezdzietności. Mało tego, wykształcenie wcale nie musi być czynnikiem decydującym o bezdzietności, skoro bezdzietność dotyka w (niemal) równym stopniu kategorie kobiet o różnym stopniu wykształcenia. Mimo to, Autorka udowadnia, że w całym analizowanym okresie, pogodzenie ambitnych planów zawodowych z rodzeniem dzieci zawsze było kłopotliwe. Ewidentnie zatem – materia rozrodczości jest znacznie bardziej skomplikowana, niżli się politykom i politykom społecznym wydaje.

Dwie szkody

W tej części spróbuję dokonać krytyki pracy (oczywiście w rozumieniu niepotocznym), zwracając uwagę na rozmaite „szkody”.

Wprowadzenie do pracy zawiera bardzo krótki, ale rzeczowy przegląd podstawowych konceptów wyjaśniających mniejszą dzietność wyżej wykształconych kobiet. Z mojej perspektywy nieco szkoda – i to pierwsza z tytułowych „szkód” – że aż tak krótki, nie potrafię bowiem należycie ocenić erudycji Autorki. Rozumiem jednak, że to działanie w ramach demografii standardowe.

Po drugie szkoda, że dyscyplina, w której Autorka się porusza nie pozwala w rozprawie doktorskiej interpretacyjnie „poszaleć”. Autorka co prawda w kilku miejscach zastrzega (np. na s. 21), że czytelnik spotka się w Jej pracy li tylko z opisem, ale warto było ten opis okraszyć odważniejszymi próbami ewentualnych przyczyn opisywanych zjawisk, zależności i faktów.

Ktoś mógłby uznać, że o trendach opisanych w recenzowanej rozprawie mówiono i pisano po wielokroć. Kiedy Autorka uważnie przygląda się kohortom, widać, że czynnikiem mogącym zmniejszać dzietność jest rosnące wykształcenie. Późniejsze kohorty są lepiej wykształcone i mają mniej dzieci. Wniosek z tego, że kobiety lepiej wykształcone – najogólniej i zazwyczaj – mają ogółem mniej dzieci od kobiet wykształconych gorzej. Wzrasta sukcesywnie liczba urodzeń pozamałżeńskich, i to we wszystkich kategoriach wykształcenia. Oczywiście im wyżej wykształcone Polki, tym mniej urodzeń pozamałżeńskich (zob. s. 106). Co ważne, przynajmniej z mojej perspektywy, Autorka dostarcza argumentacji na rzecz tezy, że Polki rzadko jednak rodzą pozbawione partnera. Można rzec, że „singielki” rodzą w Polsce niezmiennie niechętnie. Rodzą te kobiety, które mają partnerów. Mężczyzna – choć takich wniosków ani interpretacji Autorka nie proponuje, i to jest właśnie ta „szkoda”, na którą wskazałem – stanowi tu rodzaj ubezpieczenia społecznego, co jest wyraźnym wskaźnikiem charakteru „ustroju” społecznego w Polsce. Dziecko to w naszym kraju koszt, którego samodzielnie ponosić nie sposób. Rośnie zatem liczba urodzeń pozamałżeńskich, ale w przeważającej większości rodzą matki mające stałych partnerów.

Jak zauważa Autorka, w czasie panowania socjalistycznego ustroju, własne mieszkanie równało się w praktyce posiadaniu dzieci. Do 1989 roku szansa na zdobycie własnego lokum wiązała się silnie z „czynnościami pronatalistycznymi”. Moim zdaniem – i ciekawe co na to Doktorantka – w kulturach (post)katolickich, takich jak kultura polska, najwyraźniej te socjalistyczne „przyzwyczajenia” wiążą się z przekonaniem o powiązaniu zakładania nowego gospodarstwa domowego z równoczesnym zakładaniem rodziny i posiadaniem dzieci. W krajach katolickich wyprowadzenie się z domu rodzinnego było od lat równoważne z ożenkiem bądź wyjściem za mąż, a potem z narodzinami potomstwa. To być może dlatego młodzi ludzie w Polsce (zwłaszcza mężczyźni), podobnie jak we Włoszech, nie chcą wyprowadzać się dzisiaj z domów rodzinnych. Pozostawanie w domu rodzinnym

automatycznie uwalnia od tej tradycji i od nacisków, które wcale po dwudziestu kilku latach od upadku realnego socjalizmu nie wywierały z umysłów starszych pokoleń.

Rozprawa wypełniona jest szeregiem interesujących ustaleń, często przeczących potocznym wyobrażeniom i tzw. zdroworozsądkowej wiedzy. Takie na przykład są ustalenia na temat zmian w strukturze wieku rodzących „samotnie” nastolatek. Informacja, że te nastolatki są coraz młodsze powinna natychmiast zostać podchwycona, solidnie przemyślana i instytucjonalnie opanowana za pomocą odpowiednich programów przez decydentów politycznych i polityków społecznych. Nastolatki, generalnie, rodzą coraz rzadziej (odsetek rodzących nastolatek spadł z 19 procent w roku 1993 do 8 procent w roku 2010), jednak – jak donosi Autorka – nastoletnie matki stają się z upływem czasu coraz młodsze (s. 109). Do tego można zauważyć, im bardziej nastoletnie matki młodnieją (w 2009 roku matki szesnastoletnie przeważały już na osiemnasto-, dziewiętnastoletnimi), tym bardziej nie mają partnera i że ryzyko bycia nastoletnią matką zmniejszyło się o połowę mimo że jednocześnie obniżył się wiek inicjacji seksualnej. Warto się zastanowić dlaczego tak się dzieje (Autorka, niestety – choć w zgodzie z przyjętą strategią analizy – tego nie czyni), zwłaszcza że rozmaite studia badawcze, a także praktyka edukatorów seksualnych wskazują na gigantyczną i stale rosnącą niewiedzę nastolatków choćby w zakresie antykoncepcji.

Warto powiedzieć, że i w części porównawczej pracy znajdują się rozmaite odkrycia. Jest w rozprawie sporo. Dla przykładu, różnice wpływu wykształcenia na dzietność wcale nie są, zdaniem Autorki, mniejsze na Wschodzie od tych na Zachodzie. Do tego, gwałtownie rosnące wykształcenie kobiet nie wpływa równie „gwałtownie” na wzrost bezdzietności. Jeszcze inne ustalenie zwraca uwagę na to, że polityka pronatalistyczna w krajach postsocjalistycznych musiała być skuteczna, skoro rosnące wykształcenie kobiet wcale nie powodowało malejącej dzietności¹. Do tego, co z mojej perspektywy ciekawsze i bardziej odkrywcze, nie można mówić o podobieństwach w zakresie wpływu stopnia wykształcenia kobiet na dzietność w krajach postsocjalistycznych, tak bardzo bowiem te od siebie się różnią. Weźmy Polskę i Słowenię, przykłady skrajne. W tej pierwszej zależność jest „stroma”, w drugiej „płaska”. Zastanawiałem się w trakcie lektury, czy nie wynika to aby z różnic w zakresie nierówności

1 Być może warto było głębiej i dłużej zastanowić się nad tą polityką i odnieść ją, w jakiś sposób, do dzisiejszej polityki dzietności w naszym kraju? Piszę o tym na marginesie, bo jest to zapewne temat na osobną rozprawę z zakresu polityki społecznej.

społecznych mierzonych choćby sposobem najpopularniejszym – za pomocą wskaźnika Giniego. Może warto sprawdzić jak się ma wskaźnik Giniego w Słowenii, być może bowiem im wyższy stopień nierówności społeczno-ekonomicznych, tym znaczniejsze różnice w dzietności między kategoriami wykształcenia (a po socjologicznemu mówiąc – między klasami)? A może to różnice w nierównościach społecznych są skorelowane (decydują?) o różnicach w dzietności między krajami postsocjalistycznymi?

Moim zdaniem można było poszukać – i wcale nie dla celów interpretacyjnej zabawy – tego rodzaju różnic między analizowanymi krajami postsocjalistycznymi. Może to nierówność decyduje o „płaskiej” charakterystyce jednych i „stromej” drugich krajów? Dodatkowo „ostry” wzrost korelacji między rosnącym wykształceniem a malejącą dzietnością w takich krajach jak Polska, Rumunia czy Słowacja powinien mieć jakiś związek z ich post-rolniczym, niemieszczańskim i silniejszym religijnie charakterem. Procesy awansu społecznego mogą być w tych krajach „gwałtowniejsze” od analogicznych w takich krajach jak Czechy czy Węgry, co może wpływać na dzietność. Autorka, w bardzo interesujących komentarzach, zwraca uwagę na silne różnice klasowe/międzykategorialne w Polsce, Rumunii i na Słowacji, które mogą decydować o dzietności. W krajach, w których za czasów „słusznie minionych” kobiety z niższych kategorii społecznych miały łatwy dostęp do aborcji, dystans między ich dzietnością a dzietnością kobiet wykształconych nie był przepastny. Dzisiaj, w takich krajach jak Polska, ten dystans się zwiększa. Wskazuje to moim zdaniem na wyższą nierówność społeczną skorelowaną z dostępem/brakiem dostępu do rozmaitych zasobów, które mogą wpływać na reprodukcyjne zachowania kobiet i w efekcie na dzietność. Ponownie kłania się tu różnica między wskaźnikami Giniego – na przykład – w Czechach i w Rumunii. Im bardziej kobiety wykształcone, pisze Autorka, tym więcej aborcji w Polsce (w czasie rzecz jasna, kiedy była ona bardziej dostępna niż dzisiaj). Nie musi o takich zachowaniach decydować niższy stopień religijności kobiet lepiej wykształconych, co sugeruje Autorka, ale – po prostu – łatwiejszy dostęp do aborcji u kobiet z wyższym kapitałem kulturowym, nawet wtedy. Dzisiaj może tak być z pewnością, bo tylko te lepiej wykształcone i sytuowane stać na wyjazd na Słowację w celu rozwiązania problemu...

Wszystko to rzecz jasna hipotezy, ale chętnie dowiedziałbym się czegokolwiek na temat możliwej ich falsyfikacji od specjalistki, którą niewątpliwie jest Autorka recenzowanej

rozprawy.

I nieco smutku na koniec

I smutna konstatacja na koniec. Autorka w zakończeniu pisze, że jest mało dzieci dlatego, że kobiety masowo wchodzi na rynek pracy, jednak mężczyźni – równie ochoczo i masowo – nie weszli jeszcze w role domowe. Kolejnym etapem prowadzącym do większej dzietności powinno być rosnące zaangażowanie mężczyzn w role/prace domowe, co w efekcie da zwiększoną dzietność. Kłopot w tym, że nie można być pewnym, czy tak w istocie się stanie. Znam doskonale dane na temat dynamiki przyrostu „zainteresowania” mężczyzn wykonywaniem obowiązków domowych, w tym opiekuńczych. Jeśli mężczyźni będą wchodzić w role domowe w takim tempie jak dzisiaj, to stan wyższej dzietności osiągniemy za trzysta lat, czyli nigdy. I to wcale nie jest żart. Być może drugi etap rewolucji genderowej nie dokona się u nas nigdy z uwagi na charakter uwarunkowań kulturowych.

Tomon Skrzypak